



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

NR 112

log. 307

POSEŁ Z WYSOKA.



WARSZAWA.

TŁOČZONO CZCIONKAMI DRUKARNI PAŃSTWOWEJ.

1922.

18860

Powiadają ludzie, do których nieboszczykowie rozmaici z tamtego świata niekiedy zagląдают, że dopóki Polska w niewoli była, nasz Kościuszko w raju ciągiem markotny siedział i z nikim gadać nie chciał. Probowały go zacne anioły tem i owem uradować — nawet mu jeden na wierzbowej fujarce śliczne pieśni z polska wygrywał — ale nic nie pomagało. Aż sam Pan Jezus powiedział: „Dajta mu pokój. Na jego strapienie ja tylko jeden radę należeć mogę. Ale muszą się spełnić dni umartwienia“.

Aż przyszła chwila obiecana.

Bóg poniżył wywyższające się; trzem grabieżcom korony z łbów postrącał i rzekł do Polski: „Łazarzu, wstań!“

To wtedy święci Pańscy obaczyli pierwszy raz uśmiech na Kościuszkowem obliczu, a Bartosz Głowacki, który dawno tego wyczekiwał, przyskoczył do Naczelnika rozradowany, chciał coś gadać, ale mu dech odebrało. Więc ino chmury palcem na dwie strony rozgarnął, żeby Kościuszko mógł lepiej Polskę widzieć.

Odtąd codziennie przyglądają się nam z nieba.

Ale razu jednego ozwała się dusza Kościuszki do Bartoszowej duszy:

— Wiesz co, Bartek? Nie wszystko mi się tam u nich podoba.

— Niby jakto, Naczelniku?

— Widzę dużo ludzi, co ciągiem jeszcze w moc Polski wskrzeszonej nie wierzą.

To rzekłszy, wskazał Kościuszko gospodarza, co wykopywał dół za stodołą.

— Spójrz, co on tam robi.

Głowacki otworzył szeroko oczy, patrzy... A oto ów gospodarz, wykopawszy głęboką jamę, wziął do niej ruble carskie chować.

— Poślij tam do niego którego z naszych chłopaków — mówi Kościuszko, — niech objaśni temu człowiekowi, że ino stratę sobie szykuje.

— Rozkaz, Naczelniku!

Bartosz nikogo jednak nie posyłał, ale sam zeskokczył z nieba do zagrody onego niby przezornego kmiecia.

— Zakopaliście ruble — rzecze mu odrazu.

— Nieprawda! — zaprzeczył żywo tamten, bo przecie nikt nie będzie rozgadywał, jeśli gdzie skarb ukryje.

— Nie gadajcie, widziałem.

— Jakaście mogli widzieć, kiedy tu nikogo nie było?

— Skądem patrzył, tam patrzył, moja rzecz — odpowie Bartosz, — dość, zem widział. Nie macie się co zapierać. Nie przychodzę pieniądze odbierać, ani też podatek nakładać.

— No to czego chcecie? — burknął gniewnie gospodarz.

— Chce ostrzedz, że daremnie takie zaufanie do tych papierków macie. Minie kilka lat i ruble nie będą warte.

— Ot, gadanie! Zawdy przecie co rubel, to rubel — odpowiedział chłop z niedowierzaniem.

— Rubel rublem, dopóki car na polskiej ziemi carem. Widać, chcesz, żeby on tu wrócił i dalej po swojemu rządził.

— A skąd mam wiedzieć: wróci, czy nie wróci?

— Nie wróci, bo taki wyrok Pana Boga. Ale obok Boskiego wyroku, najważniejsza tu twoja własna wola. Wszystko się stać może, czego cały naród żywo chce; a nic się stać nie może, czego cały naród mocno nie chce.

Gospodarz zamilkł. Nie wiedział, z kim gada. Bartosz wydał mu się podejrzany: na kmięcia wygląda, a mówi jakoś tajemniczo, nie całkiem prosto.

— Ja tam — odezwał się po długiej chwili — do onych polskich marek zaufania nie mam.

— Sam na tem stracisz — odpowiedział Głowacki. Pokiwał głową i znikł raptem, ku zdumieniu i przerażeniu gospodarza.

Późno już było, kiedy Bartosz wrócił do Naczelnika.

— Czemużeś mi się cały dzień nie pokazał? — spytał, ujrawszy go, Kościuszko.

— Na ziemi byłem, u tego, co ruble carskie zakopywał.

— Ostrzegłeś go?

— A jużci.

— I cóż?

— Ano, nic. Wiary nie daje, żeby rubel mógł przestać być rublem. Marce polskiej nie ufa.

— Ot, biedak! — westchnął Kościuszko — siła grosza darmo straci. Ale co robić! Niema innej rady, jak czekać, aż się sam przekona.

Wzięli tedy znów obaj przyglądać się Polsce przez szpary w obłokach, a tu czas leciał i leciał. Już się wojna kończyła, już Niemce przez siebie szli. Spojrzy Naczelnik któregoś dnia, a ony gospodarz, co wtedy ruble zakopywał, teraz cosik w sianie zagrzebuje.

— Skocz-no, Bartosz — powiada Kościuszko, — zobacz, co on tam tak chowa.

— Rozkaz.

Nie przeszło pół pacierza, i oto Bartosz ukazuje się w odrynie przezornego kmiecia.

— Co to znów zagrzebujesz? — pyta.

Tamten oczy wybałuszył, bo nie spodziewał się gościa. Ani pies nie zaszczekał, ani nie skrzyknęły wrota.

— Skądęś tu się wziął? — woła przestraszony.

— Uspokój się, — mówi Głowacki — toć-em nie bandyta. Przypatrz mi się uważnie, może poznasz.

Gospodarz popatrzył i przeżegnał się:

— W imię Ojca i Syna!.. Planetnik, czy co?

— Niech będzie planetnik. Ale gadaj: dobrześ wyszedł na onych zakopanych rublach?

— Psiakrew! — zaklął gospodarz.

— Na funty żydowi sprzedales..

— Jeszcze trocha zostało.

— To se niemi izbę teraz wyklej. A nie mówi-
lem: nie chowaj tych śmieci?

— O, kto to mógł wiedzieć!

— Mogłeś wiedzieć, bom ci przecie mówił, że
z Boskiego wyroku carskie panowanie w Polsce na
amen skończone.

— Miałem tam zara wierzyć...

— A wiesz, kto ja jestem?

Gospodarz wzruszył ramionami, że niby nie wie.

— Bartosz Głowacki jestem. Słyszałeś co o mnie?

— Ano, cosik tam się zasłyszało.

— Więc ci powiem. Do mnie onego czasu tak-
że przyszli i powiedzieli: koniec Moskałom w Pol-
sce! Uwierzyłem. Tak, uwierzyłem, bom tego pra-
gnał. A choć zawiodła mnie ta wiara, — nie żałuję:
przez nią stałem się tym Bartoszem, o którym głośno
na świecie.

Zamilkł. Gospodarz także nic nie mówił, cały
swoją robotą zajęty.

— „Rzeszki“ zagrzebujesz, co? odezwał się
po chwili Głowacki.

— Zawsze one pewniejsze od tych nowych —
niby „kościuszków“.

— Oj, głupi człowieku! Jakaż ich pewność?

— Ady stoi wyraźnie, że Niemce za nie odpo-
wiedzialność biorą.

— Od tego szwab, żeby oszwabiał. A jak sam do naszych „kościuszków“ nie będziesz miał zaufania, to i zagranicą do nich zaufania mieć nie będą.

— O! dużo mnie obchodzi, co zagranicą...

— Nie obchodzi cię? A jak przyślą ci plug z zagranicy i powiedzą, że twoje „kościuszki“ nie nie warte?...

— To im wtedy „rzeszkami“ zapłacę. A co! mam ja głowę na karku.

— Twój koń też ma głowę na karku — odpowiedział ze smutkiem Bartosz i rozwiął się, jak ta para.

Wrócił do nieba, do Naczelnika i opowiedział dokumentnie wszystko, jak było. A Kościuszko na to:

— Biedny człowiek, znów go spotka zawód. Ale nie ma rady: jedynie czas nauczyć go może rozumu.

I odtąd znów wypatrywali przez szpary w obłokach, jak to ony gospodarz do rozumu przychodził. Widzieli, jak sobie w brodę pluł, kiedy nietylko na „rzeszkach“ nie nie zyskał, ale mu ich część krowa razem z sianem zjadła. Widzieli, jak chodził markotny, że już ani rosyjskich, ani niemieckich pieniędzy znikąd nie dostaje, a wszyscy ino mu polskie „kościuszki“ pchają. Widzieli, jak tych „kościuszków“ coraz więcej za zboże i kartofle żądał, a im więcej dostawał, tem mniej te pieniądze były warte. Widzieli wreszcie, jak zaczął się do miasta wybierać po dolary amerykańskie.

— Leć — powiada do Bartosza Kościuszko — wytłumacz mu, że znów głupstwo robi.

W te pędy spuścił się na ziemię Głowacki, zastąpił drogę gospodarzowi, co już właśnie do miasteczka wjeżdżał.

— Poznajesz mnie? — pyta.

— Ady, poznaję poznaję! Kraczesz i kraczesz.

— Jakże ci nie krakać, kiedy dobrych rad nie słuchasz, ino ciągiem własną głową głupstwa robisz. Chowaleś ruble... Dobrześ na tem wyszedł? Chowaleś „rzeszki“... Dużoś miał z tego?

— Ja tera ino w dolary wierzę.

— A wiesz ty chociaż, jak prawdziwy dolar wygląda? Wiesz, ile powinien kosztować?

Kmieć podrapał się w głowę.

— Jak wygląda trocha wiem, bom widział u sąsiada, co dostał od syna z Ameryki. A ile kosztuje — wypytam.

— Kogo wypytasz? Szachrajów, co nic nie robią, ino na takich, jak ty, mądralów polują?

— Kto dziś nie szachraj? Wszystko szachraje.

— Przez to właśnie bieda, że szachrują ci nawet, co tego nie umieją. Bo i szachrować trzeba umieć. Jak się między umiejące nieumiejące dostanie, to go ze skóry obedrą.

— Jeśli nawet dolary przeplacę, to i tak zyskam, bo się pozbędę polskich marek, które spadają, a dostanę dolary, które drożeją.

— Ależ, zrozum, człowieku! Marki dlatego właśnie spadają, że ich się wciąż tylko chcesz pozbywać, a dolary dlatego drożeją, że ich szukasz.

— To ja już na to nie poradzę. Jeżeli sam jeden przestanę tak robić — nie przestaną inni, a tymczasem będę z mojami „kościuszkami“ siedział, jak głupi.

— Nie bój się: przyjdzie i dla tych „kościuszków“ lepszy czas. Świat wkońcu zmiarkuje, że Polska ma więcej sił i bogactwa, niż sami Polacy o tem wiedzą. Już nieraz tak bywało, że rozmaite polskie rzeczy, na których my sami nie poznawaliśmy się, bywały przez obcych wysoko cenione. Będzie tak wkońcu i z naszą marką. Boć przecie przez cztery lata Państwo Polskie wzmocniło się bardziej, niż inne państwa przez lat dziesiątki. Wygrało wielką wojnę z bolszewikami; ma armję, której lękają się nieprzyjaciele; odzyskało Śląsk, zdawało się, zaprzeczony na amen jeszcze przez pierwszych Piastów; umocniło się w Wileńszczyźnie; odebrało znaczną część zrabowanych przez Niemców i Moskali łupów; zaprowadziło ład i porządek w kraju, zdemoralizowanym długoletnią wojną; wzmocniło i uregulowało ruch kolejowy; odbudowało fabryki, które już wyrabiają tyle towarów, co przed wojną; nie mniej też, niż przed wojną, rodzi znów ziemia polska. Dzieci nasze mają ułatwioną i lepszą naukę; rolnik ma czem i na czem pracować; robotnik zarabia nie gorzej, niż w innych krajach Europy. Polska z Łazarza staje się potęgą, z którą cały świat się liczy — potęgą taką, jaką była za najświetniejszych czasów dawnej Rzeczypospolitej — ba! większą, bo wtedy jedynie tylko szlachta z tego korzystała, podczas gdy obecnie cały naród jest w Pań-

stwie gospodarzem... Prędzej, czy później, zagranica musi to spostrzedz, uznać i wyrazić swój podziw szacunkiem dla pieniądza polskiego.

Więc kto dziś nie lekceważy marki polskiej, wcale głupi nie jest. A już z pewnością lepiej na tem wyjdzie, niż na przechowywaniu rubli carskich i „rzeszek“ niemieckich.

Głowacki mówił z takim zapalem, że zapomniał, kto go słucha. Po chwili dopiero przypomniał sobie, że stoi na drodze przy wózku tego właśnie wieśniaka, który tak wytrwale polskich pieniędzy nie uznawał.

— A ja tam wolę dolary — odezwał się niespodzianie.

— At, szkoda słów dla ciebie — zawołał Bartosz i znikł. Tylko się trochę piasku zakręciło na drodze.

I oto znów wziął wraz z Naczelnikiem patrzeć, co będzie.

Widział, jak gospodarza w miasteczku opadli spekulanci. Dał im on wielką kupę marek, a dostał za nie kilka dolarów. Wrócił z temi dolarami do chaty, schował i wziął się do zwykłej roboty.

Minęło kilka miesięcy, znów uzbierała mu się duża paka marek; więc znów wymienił je w miasteczku na dolary.

Tymczasem przyjechał jeden znajomy z Ameryki. Gospodarz pokazał mu swoje dolary, a tamten mówi:

— Możesz nimi w piecu napalić.

— Co takiego? — wrzaśnie włościanin. I aż się zerwał z ławy. — Dlaczego?

— No, bo wszystkie fałszywe.

— Ola Bogal! Nieprawda!

— To jedź ze mną, zobaczysz, jakie dolary ja sobie z Ameryki przywiozłem.

No i pokazało się: prawdę mówił. Ani jednego dobrego papierka nie było, choć na pierwsze wejście zupełnie do prawdziwych podobne.

Biedny gospodarz mało się nie powiesił ze zmartwienia. A że się nie powiesił, to choć tyle sobie ulżył, że kobietę sprzął, choć była Bogu ducha winna.

A właśnie kiedy jej takie grzanie sprawiał, ręka mu raptem zdrętwiała, bo nagle ujrzał przed sobą tego samego „planetnika“, co go już trzy razy odwiedzał.

— Daj jej pokój — mówi przybysz. — Co ci ona winna?

— Jaktó niewinna! To ona ciągiem skwierczała, żebym w komorze tyła pieniędzy nie trzymał.

— Nie skwierczałam — krzyknie kobieta — inomu mówiła: nie trzymaj doma tyła grosza, bo się kiedy złodzieje dobiorą.

— I miała recht — wtrącił Głowacki. — Masz zbyt wiele pieniędzy, zanieś do Pocztowej Kasy Oszczędności. Ale żona nie radziła ci przecież na dolary wymieniać.

— Więc co mam robić? — zapytał wreszcie gospodarz, puszczając kobietę z posiniaczonym okiem.

— Mogę ci nakoniec dać radę — odezwał się Głowacki — którą chyba przyjmiesz, chociażbyś dalej tylko do obcych pieniędzy miał zaufanie.

I opowiedział o nowej **Pożyczce Złotej**, którą właśnie rząd polski wypuścił. Będiesz miał nareszcie to, czego chcesz: zagraniczne pieniądze w polskim papierze. Na tym papierze już nic nie stracisz, chociażby nawet ów zagraniczny pieniądz spadł w cenie.

— Jakże to tak będzie? — zagadnął ciekawie gospodarz.

— A ot tak będzie: zapłacisz 24.000 marek i dostaniesz za to papier, gdzie będzie stało z jednej strony 10.000 marek polskich, a z drugiej 10 złotych polskich, zrównanych z frankiem szwajcarskim. Ten frank szwajcarski zachował (podobnie jak dolar) wartość przedwojenną i ceniony jest obecnie na blisko 2.000 mk. pol. Kupując jednak **Pożyczkę Złotą**, zapłacisz teraz tylko po 1400 mk. za franka, a za całe 10 franków — 14.000 mk.

14.000 mk. dasz za 10 złotych polskich (czyli franków szwajc.) i 10.000 mk. dasz za 10.000 mk.

24.000 mk. dasz razem za cały papier. Po pięciu latach otrzymasz napowrót swoje pieniądze: marki za marki, a za złote polskie — złoto, albo franki szwajcarskie, albo odpowiednią sumę dolarów amerykańskich, albo wreszcie marki polskie według ceny franków szwajcarskich. Pozatem dostaniesz 8%.

— Więc co ja zyskam?

— Jakto co zyskasz? Przedewszystkiem masz już zysk kilkuset marek na każdym franku; następnie

8% od 10.000 marek i od 10 franków szwajcarskich. Ale najważniejsze to, że otrzymasz nareszcie taki papier, który nie będzie tracił wartości, bo jeżeli franki szwajcarskie stanieją, to tem samem podskoczy w cenie druga połowa papieru — ta, na której wypisano 10.000 marek polskich. Jeżeli natomiast stanieją marki, odbijesz to sobie na podrożeniu franka, czyli tej połowy papieru, gdzie napisano 10 złotych polskich.

Gospodarz milczał. Widać było, że myśli, zastanawia się, kombinuje.

— Niby — odezwał się w końcu — interes jest dobry, niema co gadać. Ino jedno mnie zastanawia..

— Cóż takiego?

— Czy tam niema jakiego kruczka?

— Dlaczego ma być kruczek?

— Bo to jakoś za dobry interes dla mnie. Więc co z tego będzie miało Państwo?

— A ot, będzie miało to, że nareszcie naród po weźmie zaufanie do polskich papierów wartościowych; że przestanie szukać zagranicznych pieniędzy i podbijać tem samem ich cenę; że przestanie sprowadzać do kraju fałszywe dolary. Wszystko to pozwoli rządowi zaprzestać drukowania coraz nowych miliardów marek i utrwali wartość pieniądza polskiego. Czy nie chcesz tego?

— Pewno, że chce.

— Każdy Polak tego samego chce i polski rząd też musi chcieć tego.

— Ano, tera rozumiem. Ide kupić Pożyczkę Złotą.

— No, chwała Bogu! Nareszcie zmadrzałeś.

Głowacki wrócił do Naczelnika i opowiedział mu z radością, jaką miał rozmowę. A Kościuszko na to:

— Dobrześ się sprawił, Bartoszu. Zyska chłop, zyska i Ojczyzna, bo zysk Ojczyzny jest równocześnie i każdego Polaka zyskiem.

